Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 21.

dnia 24. Kwietnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . 2 zł.
półrocznie . . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

Ryszard nie potrzebował aż od ojca się dowiadywać na co się zanosi. Mniej nawet od niego domyślny byłby prawdę odgadł. Bo i dla czegoż ojciec, gdy raz przy nim wspomniał o kandydaturze Sterna, zamiast coś na to zaraz powiedzieć, i albo się oburzyć, lub też ucieszyć, poruszył się tylko niespokojnie na krześle, odkrząknął raz i drugi, i hm! hm! pod nosem zamruczał? Nie starczyłoż mu to za dowód, że ojciec w rzeczy samej uwikłał się w tę sprawę? Nie zdradził jednak swoich podejrzeń, tylko jak żołnierz na czatach czuwał, żeby go nieprzyjaciel nie zaskoczył.

Wśród stosunków, w jakich znalazł się po powrocie do kraju, i pod naciskiem boleści, hartował się duch naszego przyjaciela, i z młodego człowieka robił się powoli mąż czynu!

Obwód, w którym leżał Ludaczów, miał tylko 27 wyborców z grupy wielkich posiadłości ziemskich. Pochodziło to ztąd, że znaczna jego część składała się bądź z dóbr rządowych, bądź z kluczów magnackich. Między owymi 27 wyborcami, stosunek taki zachodził: 5 było żydów i ci byli gotowi dla Sterna wszystko uczynić; 7 szlachciców goniło ostatkami i ci biorąc od Sterna zaliczki, siedzieli w jego kieszeni; 1, mianowicie pan Lachocki, zajęty gospodarstwem nie mięszał się nigdy do wyborów; 2 wdowy, 1 majątek małoletnich, 3 klucze magnackie i rządowe reprezentowali zawsze pełnomocnicy; nakoniec było 8 szlachciców bardziej niezawisłych. do których należeli Marszałek i pan Gozdawa.

Jak widzimy z tego zestawienia, Stern opierał swoją kandydaturę nie na ułudzie, lecz na zimnym rachunku. Żydzi i bankruci byli mu oddani duszą i ciałem, a pełnomocników mógł łatwo pozyskać. O większości też nie wątpił; potrzeba tylko było, żeby go postawił któryś z poważniejszych obywateli. Do tych należeli w obwodzie tylko marszałek Rady powiatowej i pan Władysław Gozdawa. Kto wie nawet, czy ten drugi mimo iż majątek tracił, lub może właśnie dla tego, nie był popularniejszym od samego marszałka, który jako starzec przeszło sześćdziesięcioletni, nie imponował powiatowi ani wielkim rozumem, ani klejnotem, ani nareszcie majątkiem. Wybrali go, bo nie było lepszego, a pan Gozdawa, mimo nalegań kilku sąsiadów, żadną miarą nie chciał przyjąć wyboru.

— Ja ci tam nie mowca mosterdzieju — odpowiedział — na prawie się nie rozumiem, pisać nie cierpię i w dodatku mam krótką pamięć. Gotówbym jeszcze kiedy zapomnieć sercuńciu, żem Radę zwołał i nie przyjechać na posiedzenie, za co pierwszy lepszy Rusin wpakował by mnie potem do Gazety.

Pana Gozdawę sąsiedzi także i za to cenili, że mimo iż pochodził z rodziny starej i dobrze skoligaconej, nigdy — jak to mówią — nosa nie zadzierał, lecz z wszystkimi żył za pan brat, po przyjacielsku. Prócz tego jego poglądy, upodobania i zasady, były im jakby z pod serca wyjęte. Jak tylko usta otworzył, każdy wiedział, że cokolwiek usłyszy, będzie zgodne z jego własnemi przekonaniami. Krótko mówiąc, każdy szlachcic uważał go za kość z kości i krew z krwi swojej.

Wybór takiego człowieka na obrońcę wydał

się Sternowi bardzo pożądanym. Głos pana Gozdawy mógł szalę przeważyć i to tem łatwiej, że cały powiat znał go jako człowieka, który cokolwiek czynił, czynił z przekonania.

W ogóle Sternowi wszystko się uśmiechało. Ponieważ nie były to wybory główne, tylko uzupełniające, przeto cały nad niemi kierunek spoczywał w rękach jednego Marszałka. W stolicy nie było komitetu przedwyborczego, któryby ztamtąd przysyłał rady lub rozkazy. W prawdzie współubiegającym się o krzesło poselskie mógł być sam Marszałek, Stern jednakże po dokładnem zasięgnięciu języka przestał się tego obawiać. Marszałek popełnił niedawno tę wielką niedorzeczność, że mimo wieku podeszłego i reumatyzmu, ożenił się z panienką ośmnastoletnią, która za to, że za starca wyszła, chciała się przynajmniej dobrze bawić. Na nieszczęście mąż, jak zwykle stary, był zazdrośny; ztąd niesnaski, płacze, kwasy domowe. Gdyby w takich warunkach marszałek posłem został, musiałby raz do roku na kilka miesięcy do stolicy wyjeżdżać, a wtedy w miarę jakby u żony rosła chęć do zabaw, w nim potęgowałoby się uczucie zazdrości. Zrozumiawszy to należycie, powiedział sobie raz na zawsze, że posłem nie będzie.

Na dni czternaście przed wyborami, Ryszard widząc raz po południu przed gankiem ojca wózek ulubiony, zapytał:

— Czy ojciec jedzie gdzie w sąsiedztwo?

— Hm! tak... w sąsiedztwo.

Nasz przyjaciel zaczął coś podejrzywać.

— Daleko?

— Hm, tak... dwie mile ztąd.

— Czy przypadkiem nie do pana marszałka?

— Zgadłeś sercuńciu, do niego...

— W takim razie i ja się przysiądę, bo właśnie mam panu marszałkowi coś ważnego powiedzieć.

— Rzeczywiście?... Nie spodziewałem się mosterdzieju!

— I gdyby mnie kochany ojciec nie chciał z sobą zabrać, musiałbym chyba osobno pojechać.

Nie na rękę było mu żądanie syna, lecz nie chciał tego okazać.

— I owszem sercuńciu, jedź ze mną, ja nie mam nic przeciw temu... boję się tylko czy z panem marszałkiem będziesz mógł dziś swobodnie pomówić.

— A to czemu?

— Bo właśnie dziś... ten tego mosterdzieju...

— Zapewne zjazd przedwyborczy?

— Zgadłeś sercuńciu... W rzeczy samej zjedzie się dziś szlachta, aby się naradzić, kogoby wybrać na miejsce pana Hilarego, który mandat złożył. Będą zatem mosterdzieju mówki, wyznania wiary politycznej i rzeczy tym podobne, bardzo więc łatwo mógłbyś się tam znudzić.

— Przeciwnie kochany ojcze, dla mnie będą to rzeczy nader zajmujące, bo nowe. Tyle już naczytałem się o zgromadzeniach przedwyborczych, a na żadnem dotąd nie byłem. Warto więc choć jedno poznać.

— Hm!... tak... zapewne!

Widoczną było rzeczą, że chciał syna odwieść od jazdy do Marszałka, a bał się z tem wystąpić. Ryszard nie namyślając się długo, prędko się ubrał i ledwie ojciec wsiadł na wózek, znalazł się obok niego.

Pan Gozdawa był chmurny i nawet fajki nie palił, z którą w drodze nie lubił się rozłączać. Milcząc ujechali całą przestrzeń.

Przed dworem Marszałka stało już kilkanaście wózków i koczobryków, różnych kształtów i wielkości, w salonie zaś było aż ciemno, tylu zjechało się panów w czarnych ubraniach. Między nimi było kilku żydów, właścicieli dóbr ziemskich, Stern i Starosta. Ten ostatni jak tylko zobaczył naszych przyjaciół, wziął natychmiast Ryszarda pod ramię i zaprowadził go do pokoju przyległego.

— Wiesz co Rysiu — rzekł — ja się obawiam, że naród palnie tu dziś głupstwo kolosalne.

— I ja się tego lękam.

— Ale tak jest, palnie! I to kto jeszcze, twój ojciec, a mój wujaszek szanowny! Jako starosta i urzędnik nie powinien bym się może w to mięszać, lecz mnie żal narodu... boję się żeby się doprawdy nie zbłaźnił. Tożby to był potem śmiech w całym kraju!

— Więc sądzisz że mój ojciec...

— Zamierza postawić kandydaturę Sterna, tego Polaka mojżeszowego wyznania, który jest podobniusieńki do swoich braci wiedeńskich i berlińskich... Wszyscy to sobie szepcą, bo sam Stern ich uprzedził... Na honor! tylko tego brakowało, żeby szlachtę polską w Sejmie polskim żydzi przedstawiali! Jak to naród zobaczy, umrze ze wstydu!

— Trzebaby więc złemu zapobiedz — Ryszard wtrącił.

— Radź, zapobiegaj, przecie tyś od tego filozof!

Ja sam nie mogę się tu odzywać, bo jako urzędnikowi nie wolno mi ani za ani przeciw występować, lecz tyś powinien naród oświecić. To, za co mnieby na cztery wiatry wypędzili, ty możesz śmiało wypowiedzieć.

— Nie jestem wyborcą.

-- A cóż to szkodzi! Czyż to my nie sami swoi? Śmiało więc Rysiu, a naród będzie ci wdzięczny.

Nasz przyjaciel uśmiechnął się i wziąwszy starostę pod ramię wrócił z nim do salonu. Tu panowie wyborcy zajęli już miejsca, naprzeciw długiego stołu, za którym usiadł Marszałek. Na ogólne żądanie podjął on się obowiązków przewodniczącego. Wypowiedziawszy kilka słów stosownych do okoliczności, tak zakończył:

— Gdy tedy po bliższem zastanowieniu się, uznaliśmy za odpowiednie, nie szukać kandydata w dalszych obwodach, przeto proszę tych panów, którzyby chcieli ubiegać się o mandat poselski, żeby wystąpiwszy złożyli nam tu wyznanie swojej wiary politycznej.

Po tem przemówieniu cisza zaległa. Nawet Jakób Stern, który do ostatniej chwili najgłośniej rozmawiał, przy czem popiół z cygara na dywan zrzucał, uznał teraz za stosowne umilknąć. Jakiś czas trwało przykre oczekiwanie. Nareszcie ten i ów zaczął poglądać na pana Gozdawę. Stern atoli udawał, jakby nie wiedział, na co się zanosi. Pan Gozdawa powstał, lewą rękę włożył do kieszeni, prawą wąs sobie podkręcił, odchrząknął raz i drugi, spojrzał na zgromadzenie i tak zaczął:

— Ja ci tam mosterdzieju mowcą nie jestem, więc nie będę panów długo nudził. Pocośmy się zjechali wiemy, a że posła musimy koniecznie wybrać, także wiemy. Kiedyśmy co do tego w zgodzie mosterdzieju, poszukajmy zatem między sobą człowieka, któryby lepiej niż kto inny mógł nasz obwód w sejmie reprezentować. W Galicji mosterdzieju źle, bieda że aż strach! gotówki brak niesłychany, słowem jak tak dłużej potrwa, szlachcica będą chyba w aptece sprzedawali na proszek utartego, bo żywi wszyscy z głodu wymrą. Otóż powiadają, że aby było lepiej, trzeba do Sejmu tęgich finansistów posyłać. A gdzież między nami lepszy od pana Jakóba Sterna? Majątek mosterdzieju czyściusieńki, gotówki w kasie jak lodu, więc znak to chyba najlepszy, że pan Stern nie nosi od parady głowy na karku. Żebyśmy tylko wszyscy mogli być kiedyś tak bogaci, czegobyśmy więcej chcieli?! Co zaś do osobistych przymiotów pana Sterna, o tych nawet nie mówię, boć je panowie wszyscy znacie. Na zakończenie tyle jeszcze nadmienię mosterdzieju, że gdyby nie był prawym synem kraju, to by go przecie gazety tak nie chwaliły i nie stawiały na wzór innym Izraelitom. Zresztą niech nam powie, jaka jest jego wiara polityczna, a wtedy zobaczymy mosterdzieju, czy z czystem sumieniem będziemy mogli na niego głosować!

Skończył i automatycznie usiadł na dawnem miejscu. Jeźli mamy prawdę wyznać, spełnił, do czego się zobowiązał, lecz spełniwszy, zaczynał wstydzić się wszystkich obecnych, a najbardziej swojego syna, który pod oknem stojąc słuchał jego mowy.

W sali wszczął się szmer cichy. Trudno jeszcze było osądzić, czy zgromadzeni jak mąż jeden pójdą za wnioskiem pana Gozdawy, lecz z tego co tu i tam dało się słyszeć, ucho obznajomione z agitacjami przedwyborczemi mogło już wywnioskować, że kandydatura Jakóba Sterna nie natrafi na silną opozycję Jedna połowa wyborców była mu oddana, druga chciała pójść za pierwszymi jedynie z apatji.

— Rysiu! — szepnął Starosta — zrób co, bo inaczej naród głupstwo palnie!

— Proszę pana przewodniczącego — przemówił jeden ze szlachciców — żeby kandydaturę pana Sterna poddał pod głosowanie i jego samego wezwał do złożenia wiary politycznej.

Marszałek chciał już uczynić zadość temu żądaniu, gdy w tem Ryszard od okna się wysuwa, do stołu podchodzi, kłania się zgromadzonym i głowę podniósłszy w te słowa przemawia:

— Darujcie panowie, że jakkolwiek wyborcą nie jestem, ośmielam się zabrać głos w tak dostojnem zgromadzeniu; sądzę jednak, że do takiego kroku jest każdy upoważniony, komu zależy na utrzymaniu godności narodowej! Tak jest panowie, występuję i przemawiam, boć w tej ważnej chwili lękam się, żeby przez samo przyjęcie kandydatury pana Sterna nie spełnił się fakt jedyny w historji naszej, fakt niestety zżydowszczenia szlachty polskiej! Przepraszam was panowie za to wyrażenie, ale zważcie, że przemawiam do was jak równy do równych, jak brat do braci, jak Polak do Polaków! Więc do tego przyszło, że właściciele ziemskich

całego obwodu tylko żyd może reprezentować? I to jaki żyd panowie? Żyd urobiony na modłę wiedeńską, nie wierzący w nic, tylko w pieniądz, nie kochający nic tylko pieniądz, nie pragnący niczego więcej, tylko władzy, której się dobija przy pomocy pieniędzy! On się nazywa liberalnym, lecz pod tem słowem on nie rozumie równych praw i swobód dla wszystkich obywateli i wyznań, on chce, nawet żąda, żeby ten liberalizm tylko dla niego jednego był korzystnym!... Dla tego to mimo że jest żydem, wdziera się w nasz kościół i wyszydza naszą religję, a równocześnie dla swojej żąda nietylko największego poszanowania, nawet przywilejów, dla tego domaga się wolności przemysłu i handlu, aby tam wprowadzić szwindel i oszustwo, dla tego wreszcie żąda wolności prasy, żeby w niej uświęcić skandal i przekupstwo! Do takich to żydów w mojem najgłębszem przekonaniu, należy pan Jakób Stern, a kto dowodami w ręku zbić mnie potrafi, niech wystąpi i kłam mi zada! Nie zastanawiam się w tej chwili panowie nad sprawą żydowską, boć ani miejsce ani czas potemu. Na jedną tylko rzecz zwrócę waszą uwagę. Oni są tu przybyszami, a żądają, byśmy się do nich zbliżyli nie oni do nas. Jakaż to dziwna zarozumiałość! Co więcej, oni śnią pragnąć, nawet o to się starają, by nasz duch stał się podobnym do ducha żydowskiego, żebyśmy się wyparli naszej wiary, naszych ideałów, naszej ojczyzny, i zostali, jeżli już nie skończonymi żydami, to przynajmniej bezwyznaniowcami, ludźmi zimno realnymi i kosmopolitami! Oto, co tacy jak pan Stern z sobą przynoszą! Myśmy im dali w Polsce przytułek, a oni z wdzięczności w Ks. Poznańskiem przeszli wszyscy we wrogi nam obóz niemiecki, tu zaś w Galicji niszczą nas jak szarańcza i utuczeni krwią naszą wyjeżdżają potem do Wiednia, by na Ringstrasse mieszkać w pałacach złoconych! Być może, że między nimi są jednostki dobre, lecz zważcie panowie, że dla jednostek krociom nie można przebaczyć! Niech większość będzie taką jaką być powinna, a z radością wszystkim dłoń podamy, lecz dopóki to nie nastąpi, dopóki duch szacherski będzie w nich przeważał, dopóki rasa semicka nie przestanie grozić naszym rasom, dopóki żydowstwo nie zacznie rozpływać się w organizmach narodów europejskich, dopóki nareszcie duch miłości nie przeniknie tych ludzi, dopóty my ich za naszych nie uznamy! A dopóki nam braćmi nie będą, dopóty im nie marzyć o mandatach szlacheckich! Teraz zaś panowie kto z was jest zdania przeciwnego, kto chce, by mu żydzi hetmanili, niech wystąpiwszy skruszy kopję w obronie pana Sterna i niech głosuje za jego kandydaturą!

Skończył. Mowa jego była jak lawa szerokim strumieniem płynąca, która wszystko z sobą porywa. Porwała też zgromadzonych, którzy z okrzykiem „Brawo! Wiwat! Niech żyje!“ rzucili się ku niemu. W sali powstał zamęt nie do opisania, z czego żydzi skorzystawszy cichaczem się wynieśli, krom jednego Sterna, który stał na boku. Pan Gozdawa ledwie do syna się przecisnął i rzucając mu się na szyję zawołał:

— Rysiu! Rysiu! ty sercuńciu mówisz jak sam Cycero! A toś mu dał mosterdzieju, że się do sądnego dnia nie obmyje. Ja wprawdzie za nim coś tam bąkałem, no, bom musiał sercuńciu, wymógł na mnie słowo, lecz tyś mnie za to pomścił doskonale! Tak się mówi mosterdzieju, tak!

— Niech żyje kochany pan Ryszard! — zewsząd wołali szlachcice. — Ktoby tam żyda wybierał! Czyż to ciebie nie mamy? Niech żyje nasz poseł pan Ryszard Gozdawa!

Z tym okrzykiem bliżej stojący pochwycili naszego przyjaciela i do góry go podnieśli.

— Na nic się nie przyda mosterdzieju, Ryś jeszcze młody, ma dopiero 26 lat i pół, a na posła trzeba 30 skończonych.

— Kiedy tak, to niechże go choć wyściskamy!

I zaczęli go ściskać, całować i każdy przysięgał, że na Sterna nie byłby nigdy głosował.

Gdy w sali trochę ucichło, marszałek postawił kandydaturę swojego szwagra, który miał wioskę w sąsiednim obwodzie, co też zgromadzenie jednogłośnie przyjęło.

Na Sterna nikt już uwagi nie zwracał i taki zapał między szlachcicami panował, że choćby wiedzieli, że ich jutro wywłaszczy i z domów wyrzuci, żaden nie byłby go o nic prosił, ani się nawet doń zbliżał.

On widząc, że jego partja stracona, z uśmiechem ironicznym podszedł do Ryszarda i rzekł:

— Zobaczymy, jak długo będzie pan mógł tak wojować!

Ryszard zmierzywszy go od stóp do głowy obrócił się do marszałka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

— I to się w tym kraju błogosławionym wiosną nazywa! Śnieg pada coraz gęściej; do tego wicher północny dmie aż lubo, jakby nas chciał z kretesem zasypać.... Miły klimacik! przyjemna sytuacya! Doprawdy! to nie do zniesienia!

Tak narzekał młody człowiek siedzący w powozie, który istotnie z wielkim trudem przebijał się przez zaspy śniegowe. Konie pocztowe krok za krokiem postępowały, wyciągając leniwo nogi ze śniegu, w którym brnęły ciągle po kolana; cierpliwość dwóch podróżnych na ciężką próbę wystawiając.

Młodszy, ubrany wytwornie, ale o wiele za lekko na tak ostre powietrze, mógł liczyć najwięcej lat dwadzieścia cztery. Cała jego postać była uosobistnieniem młodości swobodnej, a nawet trochę burzliwej rysy twarzy były regularne; piękne czarne oczy patrzyły w świat tak śmiało i wyzywająco; usta koralowe uśmiechały się tak rozkosznie; jak gdyby najlżejsza chmurka nie przeszła przez to jasne czoło i życie słało mu dotąd same róże pod stopy, kolce dla innych zostawiając. Że nie był przyzwyczajony do najmniejszej przeciwności, dowodziła niecierpliwość z jaką wyrzekał na chwilowe w drodze niepowodzenie.

Zupełnie obojętnym był natomiast towarzysz jego, który wcisnął się w drugi kąt powozu i obwinął szczelnie grubym płaszczem sukiennym. Zdawał się o kilka lat starszy od młodzieńca, któregośmy właśnie co opisali. O ile tamten był miłym, sympatycznym, ujmującym sobie wszystkich bez wyjątku, obejściem łatwem i grzecznem o tyle drugi miał coś w swojem ułożeniu, co z góry źle dla niego uprzedzało i prawie odpychało każdego. Był wysoki i silnie zbudowany, trzymał się jednak pochyło, czem psuł piękność swojej mężkiej postawy, w ubiorze było pewne zaniedbanie; w słowach i ruchach szorstkość i niezgrabność. Twarz jego nie była piękną; a jednak dla malarza mógł to być typ pożądany, tak nazwana głowa charakterystyczna. Rysy nie były regularne, lecz wybitne i wyraziste; tylko że ten wyraz był jak stal ostry, działający na każdego deprymująco. W tak młodym wieku, nie mógł jeszcze wielu zawodów doświadczyć, a jednak taka gorycz wiała ze słów jego. Usta były jakby bolem ścięte, lub też uśmiech sarkastyczny na nich osiadał, oczy koloru niepewnego, mieniące się jak fale morskie, patrzały ponuro; z pod brwi ciemnych i krzaczystych, czoło okryte włosem ciemnym, bujnym i twardym, przedwczesne bruzdy naznaczyły na dowód, jak ciężkie myśli przeszły przez tę młodą głowę; wydawał się o wiele starszym niż był w istocie. W nim nie było nic pociągającego, nic sympatycznego. Oczy jego nie lśniły rozkoszą, nie śmiały się do życia; nie miał nigdy tych porywów namiętnych, które tak chętnie młodości darowujemy, nie śnił i nie marzył, wzrok jego był zimny jak najprozaiczniejsza rzeczywistość, zimny jak jego cała postać lodowata.

Dotąd, jak już powiedzieliśmy patrzał obojętnie przez okno na zawieję i grube płaty śniegu, w powietrzu się uwijające. Wreszcie odrzekł spokojnie na wykrzykniki pełne oburzenia swojego młodszego towarzysza:

— Zapominasz Edmundzie, żeśmy już nie we Włoszech. W naszym kraju, a do tego w górach, marzec zupełnie jeszcze do zimy się liczy.

— Moja piękna Italia! Tam opuściliśmy naturę ożywioną złotemi i gorącemi słońca promieniami, kwitnącą i woniejącą; a tu w kochanej ojczyźnie, przyjmuje nas śnieżnica; prosto od bieguna północnego idąca. Ty bo zdajesz się lubować w tej lodowatej temperaturze. Przyznaj się szczerze Oswaldzie! Ta cała podróż była ci nieznośną, odbywałeś ją z musu tylko... a byłbyś wolał zostać w domu, przy twoich księgach zapylonych?

Oswald wzruszył ramionami.

— Co ja sobie życzę, lub czego sobie nie życzę, o to przecież nikt się nigdy nie pytał. Sam jechać nie mogłeś... musiałem się do tego zastosować.

— Tak! dodano mi ciebie jako mentora — zaśmiał się Edmund — który podług najwyższego rozkazu, miał mnie pilnować i przykrócić cugli w razie potrzeby.

— Co mi się wcale a wcale nie udawało. Popełniłeś dzięki Bogu! szaleństw bez liku.

— Bah! Od czego jest się młodym i bogatym! Przecie na to, by życia w całej pełni używać. Wprawdzie gdy tylko szło o jaką przyjemność porzucałeś mnie puszczając samopas. Nie dobry z ciebie towarzysz Oswaldzie! Powiedz mi dlaczego tak uporczywie unikałeś wszelkich towarzystw, odsuwając się od nich z miną ponurą kameduły?

— Dla tego — brzmiała szorstka odpowiedź — że co ujdzie Ordynatowi, hrabiemu na Ettersbergu i za co otrzyma zaledwie czułą wymówkę i lekkie napomnienie, u mnie byłoby za zbrodnię poczytane.

— Cóż znowu — Edmund zawołał — Wiesz przecie że w każdym razie byłbym wziął całą odpowiedzialność na siebie. No, co do moich sprawek, wyroku się nie boję. Nie wypadnie zbyt surowo. Lecz gdy ty wystąpisz z twoimi na przyszłość planami, możesz się przygotować, że to wywoła burzę gwałtowną.

— Wiem o tem — odparł Oswald lakonicznie.

— Tym razem i na moje poparcie nielicz wcale. Broniłem cię zawzięcie, gdy cię zmuszano do służby wojskowej, tak wstrętnej twojej naturze. Wtedy po-

mogłem ci i na swojem postawiłeś. Myślałem jednak, wraz z innymi, że wstąpisz do służby państwowej. Raptem występujesz z planami i pomysłami tak dziwnej natury....

— Nie tak dziwnej, jak się tobie wydaje Edmundzie. Nosiłem się z tą myślą, skoro zaczęliśmy uczęszczać na uniwersytet. Wszystkie moje studja ku temu kierowałem. Chcąc sobie jednak oszczędzić walk długoletnich, a niepotrzebnych, milczałem aż dotąd, póki nie nadszedł czas decyzji ostatecznej.

— A ja ci powiadam, że z tą wiadomością sprawisz efekt bomby pękającej i poruszysz całą rodzinę. Bo też to rzecz niesłychana! Hrabia Ettersberg adwokatem broniący pierwszego lepszego złodzieja lub fałszerza. Na to matka moja nigdy nie zezwoli i będzie miała słuszność zupełną. Przeciwnie gdybyś wszedł do służby państwowej....

— Musiałbym lata całe darmo się wysługiwać — przerwał mu Oswald gwałtownie — i być dalej zależnym od ciebie i twojej matki!

— Bracie! Czyż dałem ci to uczuć kiedykolwiek?

— Ty.... nie. Czułem to jednak nie mniej boleśnie i... głęboko.

— Znowu wracamy w to nieszczęsne koło zaczarowane! Byłbyś gotów do najdzikszych pomysłów, byle zrzucić z siebie ciężar, tak nazwanej zależności. Ale cóż to się stało? Dlaczegoż powóz się zatrzymał? Zdaje się, że przyjdzie nam tak przenocować pod lasem wśród śniegu! Niech djabli biorą takie drogi i taki klimat!

Oswald spuścił okno i wytknął głowę;

— Co to? — zapytał.

— A nic — odrzekł z flegmą pocztylion, który zdawał się całkiem stoicznie na tę rzecz zapatrywać — tylko na miejscu stoimy.

— Tylko na miejscu stoimy! — wybuchnął Edmund śmiechem ironicznym, po tamtym podrzeźniając — i ten bałwan zapowiada nam coś takiego z całym duszy spokojem! Siedzimy zatem jak mysz w pułapce Cóż dalej?...

— Oswald zamiast odpowiedzi otworzył drzwiczki i wysiadł z powozu. Jednym rzutem oka objął sytuację która co prawda, nie należała do najprzyjemniejszych. z góry dość stromej zjechawszy, dostali się do wąwozu zupełnie śniegiem zawianego. Przejazd był niemożebny Tak osądził pocztylion, tak widocznie myślały i jego konie. Pierwsze łby pospuszczały filozoficznie, śnieg liżąc dla przepędzenia czasu, drugi założył batog obok kozła, puścił z rąk cugle, a obracając się do swoich panów zagapił się na nich z bezmyślnym uśmiechem, jakby od nich spodziewał się rady i pomocy.

— Przeklęte poczty! — wybuchnął Edmund wysiadłszy również z powozu — nie lepiej to było zamówić nasze własne konie! Przed nocą ani myśleć, żebyśmy na miejscu stanęli. Słuchajno! Dostaniesz tryngield co się zowie! Tylko ruszaj!

Pocztyljon zaśmiał się głupowato, w głowę poskrobał i odrzekł znowu najspokojniej:

— To daremna! Tędy nie przejedzie, przecie panowie sami widzą.

Edmund miał już na ustach odpowiedź gwałtowną lecz Oswald go powstrzymał, kładąc mu lekko rękę na ramieniu.

— Daj pokój Edmundzie! Ten człowiek dobrze mówi. Parą końmi nikt nie jest wstanie ztąd się wydobyć. Wsiadajmy nazad do powozu, a jego konno wyprawmy po konie lub woły do wsi najbliższej.

— Aby nas tymczasem w tej dziurze śnieg z kretesem zasypał! kłaniam uniżenie! wolę już pieszo nazad do stacji powrócić.

Oswald obrzucił swojego towarzysza wzrokiem ironicznym. Co prawda ubranie jego eleganckie, wyrachowane do ogrzewanych coupés pierwszej klasy, nie bardzo licowało z podobną przechadzką.

— Chcesz brnąć w śnieg po kolana w tym lekkiem obuwiu i równie lekkiem ubraniu? Tego ci nie radzę. W ogóle możesz się przeziębić stojąc na tym ostrym wietrze. Proszę cię weź mój płaszcz.

I nie czekając odpowiedzi zdjął płaszcz ze siebie okrywając nim Edmunda, który przeciw temu żywo lecz nadaremnie protestował.

— Zmiłuj się Oswaldzie! Jakże ty tak zostaniesz bez żadnego okrycia?

— Mnie to nie szkodzi. Nie jestem zniewieściały.

— Ale ja nim jestem. Dziękuję! — odrzekł Edmund urażony.

— Zniewieściałym, nie, tylko rozpieścili cię zanadto. Teraz atoli musimy powziąć jakieś postanowienie. Czy wsiadamy i posyłamy pocztyliona na koniu, czy też sami pieszo idziemy? Decyduj się, a prędko, bo czasu szkoda!

— Żebyś ty mógł raz odwyknąć, od stawiania takich wniosków kategorycznych! — westchnął ciężko pieszczoszek — Każdą kwestję podajesz, jak mówi Francuz „a la pointe de l'épée“. Albo! Albo! Czyż ja wiem siedząc w powozie, jak tam ta nieszczęsna ścieszka wygląda?

Przerwali rozmowę. W niejakiem oddaleniu słychać było głuchy tentent i koni prychanie. Wkrótce wśród śnieżnej zamieci zobaczono drugi powóz doskonałą parą koni zaprzężony. I te jednak stanęły w tem samem miejscu. Powtórzyła się scena pierwotna, tylko że teraz słychać było młody i dźwięczny głosik kobiecy, wołający z najwyższą niecierpliwością:

— Czyś ty Janie oszalał! Musimy przejechać i koniec!

— Jabym rad pannunciu — stary woźnica potrząsł głową — I koniskom spieszno do domu i człowiek chętnie by się zagrzał w kuchni, ale tu choć głową o mur bij, święty Boże nie pomoże!

— Głupiś! musi pójść. Zaraz sama zobaczę.

Drzwiczki z impetem otworzono, i żywo wyskoczyła z powozu zgrabna i składna postać kobieca. Jej strój

był przynajmniej do pory zastosowany. Szubka aksamitna z futrem pod spodem i naokoło tejże; kołpak futrzany, z baszłykiem i gęstym welonem; buciki ciepłe na nogach.

Było to widocznie stworzeńko energiczne, gdyż nie uważając wcale że w śnieg zapada głęboko i że jej się go za buciki nasypało, postąpiła śmiało naprzód kilka kroków, i dopiero wstrzymał ją widok powozu i naszych dwóch podróżnych.

Panowie również ją spostrzegli. Oswald rzucił na nią okiem przelotnie i napowrót całą uwagę wytężył, by jakoś ratować się z tego rozpaczliwego położenia, Edmund atoli ze zwykłą sobie lekkomyślnością, o wszystkiem zapomniał, zajęty wyłącznie piękną nieznajomą. Że była piękna o tem ani chwili wątpić nie chciał. Zbliżył się do niej mimo śnieżnej zamieci, oddając jej ukłon tak elegancki jakby się oboje znajdowali na lśniących parkietach salonowych i w te słowa przemówił:

— Jak widzę pani, nie my jedni używamy przyjemności tego niezrównanego powietrza wiosennego. Ponieważ los nas połączył w spólnej niedoli, ośmielę się choć nieznajomy ofiarować pani nasze usługi.

Zapomniał w swoim zapale Donkiszotowskim, że obydwaj z Oswaldem dotąd sami dla siebie nic nie wymyślili. Niestety jego rycerska galanterja została natychmiast przyjętą. Bez wszelkiej żenady i tonem równie jak pierwej stanowczym nieznajoma szybko odrzuciła:

— Bądź więc pan tyle grzecznym, utorować nam drogę przez tę zaspę.

— Jakto? — bąknął Edmund zaniepokojony — Ja mam torować drogę przez....

— A naturalnie! To jedyna przysługa jakiej chwilowo potrzebuję.

— Wykonałbym twój rozkaz pani najchętniej, gdybyś mi tylko wskazać raczyła jak się wziąć do tego.

Tupnęła nóżką chociaż w śniegu po kostki i wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Myślałam, żeś go pan sam znalazł, skoro mi swoją pomoc ofiarujesz. Przejechać musimy! Mniejsza o to jakim sposobem.

To mówiąc odrzuciła w tył gęsty welon, a to, co pod niem się ukrywało było tak zachwycające, że Edmund na ten widok osłupiał i zapomniał odpowiedzieć.

Okrągłą twarzyczkę więcej jeszcze niż zwykle zimnem zarumienioną, okalały bujne warkoczy jasno chatain o złotawym w załomach połysku; w prześlicznych szafirowych oczach daremnieby szukał owej słodyczy i spokoju tradycjonalnie związanego, z pojęciem o jasnych źrenicach. Oczy te lśniły jak djamenty i patrzyły w świat z tą śmiałością i pewnością siebie, którą posiada jedynie młodość, gdy wszystko tchnie w koło niej szczęściem i swobodą. Dołki, które uśmiech w pełnej buzi tworzył, były rozkoszne, ale gdy te różowe usteczka wydęły się nadąsane, wskazywały uporek nie lada, a główka w górę zadarta znamionowała wiele dumy, a nawet zwiastowała nieco kapryśną naturę. Może właśnie ten wyraz niezwykły u kobiet, woli silnej i energji, nadawał twarzyczce uroku, a raczej pewnego pieprzyku, który robił ją tak pociągającą, iż trudno było wzrok od niej oderwać.

Młoda osoba ze sprytem kobiecym odgadła natychmiast jak wielkie wywarła wrażenie i dla tego łaskawy uśmiech zadowolenia, wykwitł na ustach koralowych, dotąd niecierpliwie zagryzanych. Edmund także prędko się opamiętał. Nieśmiałość i wstydliwość młodzieńcza bynajmniej do wad jego nie należały. Właśnie chciał debiutować ognistym jakim komplementem, gdy Oswald wpadł mu w słowo:

— Trudności dałyby się usunąć — rzekł z lekkim ukłonem — jeżeli nam pani pozwoli przyprządz swoje konie do naszego powozu. Tym sposobem najprzód nasz powóz przewieziemy, a następnie i pani powóz czterma końmi ze śniegu da się wydobyć.

— Nadzwyczaj praktycznie! — mruknął Edmund kwaśno, rozgniewany, że mu komplement wpół przerwano, lecz i młoda dama była niemile dotknięta tonem szorstkim i suchym, którym jej tę propozycję uczyniono. Do żadnego celu nie wiodąca niema adoracja hrabiego Ebersberga, wydawała jej się o wiele przyjemniejszą, niż pomoc istotna, którą chciał jej nieść hrabiego towarzysz, ofiarowana w sposób tak zimny i obojętny.

Odpowiedziała też równie krótko.

— Bardzo proszę. Rozporządzaj pan wszystkiem podług życzenia! — rozkazała woźnicy by słuchał tego pana i zrobiła minę, jakby się chciała schronić nazad do powozu, przed wichrem dmącym niecierpliwie.

Edmund za nią pospieszył; pomógł wsiąść do powozu, a następnie uznał za potrzebne stanąć na stopniu i wiernie raportować przez spuszczone okno o ile wyprawa postępuje,

— Teraz z miejsca ruszają. Zaledwie cztery konie zadaniu podołały. O! o! na pochyłości nad rowem, sytuacja się znowu pogorsza... nieszczęśliwa buda pocztowa trzeszczy we wszystkich fugach i fatalnie się przechyla. Obydwaj nasi Automedony kompletnie do niczego! To szczęście że mój towarzysz całą wyprawą kieruje. Już to on stworzony do komenderowania! Dzięki Bogu przebyli najgorszą zaspę.... teraz pójdzie... pójdzie niezawodnie!... Oswald idzie naprzód i drogę im wskazuje...

— A pan tymczasem trudzisz się staniem na stopniu powozu — zaśmiała się młoda dama ironicznie.

— Ależ pani! — bronił się Edmund — Nie mogłaś przecie wymagać bym cię zostawił samą jedną na publicznej drodze. Ktoś musiał zostać dla twojej obrony.

— Nie myślę żeby w tych stronach można się obawiać napadu rozbójniczego. Nasze drogi o ile wiem są nader spokojne. Tylko pan o ile się zdaje w szczególności ten punkt ukochałeś.

— Istotnie tak cudowny widok z tego miejsca przed okiem mojem się rozwija!

Ta zanadto zuchwała galanterja, widocznie się nie

podobała. Gęsty welon spadł raptem i ni to mgła szara, cudowny widok zasłonił. Hrabia zmięszał się cokolwiek. Uczuł, że się nadto zagalopował. Stał się uważniejszym i z większem uszanowaniem dla nieznajomej.

Przejazd przez miejsce niebezpieczne trwał z kwandrans. Wreszcie konie stanęły na gładkiej drodze i prowadzono nazad obie pary, by drugi pojazd wyciągały. Na czele szedł Oswald. Edmund nie opuścił raz obranego stanowiska i musiał o ile się zdawało otrzymać rozgrzeszenie, gdyż bardzo ożywiona rozmowa toczyła się między obojgiem. Tylko złośliwa osóbka znajdowała w tem przyjemność, by mu za karę oblicza więcej nie ukazać. Welon spoczywał ciągle na jej pięknej twarzyczce.

— Muszę panią prosić, abyś wysiadła — przemówił Oswald do okna przystępując. Spadzistość zaspy jest niebezpieczna i nasz powóz o mało, że się nie wywrócił.

— Ależ Oswaldzie, co za myśl dzika! — Edmund żywo przerwał — Jakże możesz wymagać, aby pani brnęła w tym śniegu? To jest czystem niepodobieństwem.

— To nie... tylko trochę niewygodnem. Powozy utrą drogę o tyle, że idąc natychmiast ich śladem, zaledwie się ryzykuje, że trochę śniegu w buciki się nasypie. Jeżeli by jednak pani bała się zrobić tych kilka kroków....

— Bała się, bała! — przerwała mu podrażniona. — Dlaczegoż pan tyle bojaźliwości mnie przypisujesz? Nie jestem wcale takim tchórzem!

Prędko z powozu na środek drogi wyskoczyła. Tu atoli wicher, widocznie z Edmundem sprzymierzony, porwał z głowy welon i tak misternie z tyłu zaplątał, iż mimo, że go obiema rękami ściągała, dostać go napowrót nie mogła i Edmund napawał znowu oczy cudownym widokiem.

Ponieważ droga już była trochę utarta, drugi powóz łatwiej niż pierwszy przebył zaspę. Oswald znowu wyłącznie wyprawą się zajął, Edmund pozostał przy nieznajomej.

Wicher dął w najlepsze i miótł w oczy śniegu tumany. Nasi atoli młodzi ludzie nie zdawali się zwracać na nic uwagi, przeciwnie znajdowali wiele przyjemności w tem położeniu oryginalnem. Głębsze w śnieg zapadnięcie, zerwanie Edmundowi czapki, rozburzenie włosów nieznajomej, które jej oczy zasłaniały, wszystko było powodem do śmiechu i żartów wesołych Koncepta leciały ni to ogniste rakiety. Skoro jedne usta wymówiły, drugie natychmiast pocisk z procentem odrzucały. Droczeniu się nawzajem i figlom końca nie było. Rozmowa szła im tak gładko i tak poufale, jakby się znali od niepamiętnych czasów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W chwili skonu.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU.

Dokończenie.

Milcząc przeszedł przez salon i stanął obok szezlonga Margrabina pozostała nieruchomą. Czuła jak jej się włosy jeżą na głowie; jak jakaś ręka żelazna chwyta ją za gardło. Po chwili głucho jęknęła i zawołała:

— Wyjdź Joanno!

Adwokat zamknął drzwi na klucz za odchodzącą, poczem wrócił krokiem wolnym, miarowym, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, wpatrując się w margrabinę wzrokiem strasznym, jak stal zimnym i przeszywającym.

Porwała się w górę, obiema rękami głowę przytrzymując, jakby się bała o jej całość i z trudnością wyjąkała:

— Przychodzisz mnię wydać w ręce sprawiedliwości... Lecz zkąd wezmiesz dowodów? kto ci uwierzy?...

— Nikt! wiem o tem. Nie panią im też oddam... ale siebie! I ja zabiłem człowieka... twojego kochanka, pięknego Hektora de Lansac! — zaśmiał się dziko — wprawdzie była to walka uczciwa; przeciwnik mój był nawet o wiele odemnie wprawniejszy w rycerskiem rzemiośle... Biedny szaleniec zabiłem go by pomścić ciebie. Kochałem cię jak nikt nigdy kobietę nie kochał... Ubóstwiałem z daleka jako wzór cnót, jako czystą i świętą niewiastę z tysiąca wybraną... a tyś była potworem bezwstydu i okrucieństwa!...

Jęknęła głucho:

— Nie obrzucaj konającej obelgami! Miej litość nademną! Moja zbrodnia była bezwiedną, mimowolną... Dałabym cały majątek, krew moją do ostatniej kropli, wszystko! prócz mojej reputacji — by ją odpokutować! Czy mi nie wierzysz?

— Nie! — odwrócił od niej oczy ze wstrętem — oddam życie, aby ratować tę niewinną, którą twoja zbrodnia na rusztowanie posyła. Dzięki Bogu, żem dość wcześnie o tem się dowiedział... Mogłem wrócić za późno...

— Katarzyna nie zginie, jakkolwiek wyrok by wypadł... pomogę jej do ucieczki, a później dostanę dla niej list żelazny...

— Więc w drodze łaski chcesz niewinną ratować? — uśmiechnął się gorzko — aby wiecznie nosiła na czole piętno hańby tobie się należące?... Nie, nie, ten anioł musi wyjść czysty z tej sprawy i na to moje życie poświęcam. Zabójca mimowolny odbierze karę

hańbiącą, która się należała morderstwu rozmyślnemu. Opatrzność widocznie z tobą trzyma pani. Dziś cię oszczędza, lecz choć unikniesz ludzkiej sprawiedliwości, pomyśl, że Bóg, ten sędzia nieomylny, powoła cię kiedyś przed swój trybunał!... Pamiętasz plamy krwawe na twoich ramionach, w wigilią św. Jana?... Wszystkie one wtedy wystąpią... wszystkie!

Schowała instynktowo ręce pod biały płaszczyk, który ją osłaniał i odpowiedziała głosem złamanym:

— Bóg miłosierniejszy od ludzi! A czy myślisz że ja już dziś nie znoszę mąk piekielnych? Sumienie jest moim katem, a karą najstraszniejszą, była dla mnie śmierć Hektora.... I twoje ręce panie Loubet krwią zbroczone, krwią tego, któregom nad wszystko ukochała! dla którego gotową byłam nawet życie poświęcić... Hektor pod ziemią... Ta głowa piękna, dumna, ukochana, trupią czaszką.... te oczy cudowne, żwir ostry wyjadł... a ja wlokę nędzny żywot; dzień i noc trawiona boleścią bez miary...

Zapłakała.

— Więc go tak bardzo kochałaś — syknął Jakób — tego człowieka, który cię zdradzał dla innej? On już dawno cię nie kochał i nie dbał o ciebie pani!

Oczy jej błysły złowrogo, pięście kurczowo ścisnęła. Słowa te bezlitośne obudziły w jej duszy całe piekło zazdrości i zemsty.

— Przedemną musisz się wyspowiadać — mówił dalej Jakób — musisz mi odkryć całą prawdę. Tę zbrodnię ohydną naprzód obmyśliłaś i po toś leciała do ogrodu kapitana, by sprzątnąć twoją rywalkę?

— Nie, nie! — krzyknęła rozpaczliwie — na Boga przysięgam, że o niczem nie wiedziałam.... Byłam przekonaną, że mnie kocha jedynie... że dla mnie li ten domek urządził.... że ja tylko mam klucz od niego.... Nazajutrz odchodził... serce mi z bolu pękało... chciałam go widzieć, może w życiu po raz ostatni... chciałam pożegnać.... wykradłam się niepostrzeżenie z pałacu.... leciałam jak szalona przez ulice.... w domu z daleka światło przez drzwi uchylone ujrzałam... „to on, to on na mnie czeka“ powtarzałam serce dłonią przyciskając, „wie że mnie nic nie wstrzyma, ani ten trup znienawidzony za życia, ani łańcuchy, któremi skuli moją młodość“. Wpadam do domu.... i na środku saloniku widzę piękną Loubetę!... O! — Głęboki jęk z jej piersi się wydobył i głos się urwał zupełnie.

— Kończ pani — Jakób zawołał rozkazująco.

— Poznała mnie... lżyć zaczęła... groziła iż nazajutrz całe miasto się dowie, iż margrabina d'Argevillier, znalazła się razem z piękną Loubetą na rendezvous z kapitanem de Lansac, w jego *petite maison*. Nogi się podemną uginały; oparłam się o marmurowy kominek by nie upaść... Osłupiała, oszołomiona, milczałam.... To ją do reszty rozzuchwaliło. Przyskoczyła pieniąc się ze złości, i mnie, mnie, margrabinę d'Argevilliers! ta dziewka w twarz uderzyła!... Krwawa łuna oczy mi przysłoniła... uczułam straszny zamęt w głowie... dłoń oparta machinalnie o marmur kominka jakiś nóż nieszczęsny namacała i ścisnęła kurczowo... pchnęłam nim na oślep nie wiedząc gdzie i w kogo... Usłyszałam krzyk przeraźliwy i uczułam ciało bezwładnie na ziemię się walące...

Kaszel suchy, znowu przerwał jej mowę. Po chwili odjęła od ust chusteczkę, pełną krwi śpienionej. Mimo wstrętu, jaki w nim budziła, Jakób zadrzał na ten widok.

— Odtąd słyszę wiecznie krzyk mojej ofiary... nie śpię... nie jem... Boże! w jakiej trwodze nieustającej, w jakich męczarniach życie mi upływa. Spodziewam się że niedługo wszystko się skończy... Ale tam — podniosła rękę do góry — co mnie czeka? Boże zmiłuj się nademną!...

— Niech nam wszystkim przebaczy! — odrzekł Jakób z ponurą rezygnacją.

— Oby moja śmierć, i twoją zbrodnię odkupiła. Jutro zajmę miejsce Kasi. Biedne dziecię! Zostanie zupełną sierotą; bez pomocy, bez opieki! Siostra pięknej Loubety; krewna zbrodniarza, którego będą kołem łamać publicznie, któż się z nią ożeni? któryż klasztor ją przyjąć zechce?

Zsunęła się przed nim na kolana:

— Jakóbie! — jęczała — ty nie wytrwasz! ty mnię zadenuncjujesz.

— Czyż sama nie mówiłaś, że nie mam na to dowodów? — potrząsł głową z gorzkim uśmiechem. — Idąc na rusztowanie pani margrabino, pokłonię się zdaleka przed twoim pałacem. Ujrzę cię tam zapewne, czyhającą na tę błogą chwilę, kiedy będziesz mogła sobie powiedzieć „Zginął jedyny, który mógł zaświadczyć, że szlachetna i wysoko urodzona pani d' Argevilliers, żona półkownika królewskiego, w dzień śmierci męża, wymknęła się z domu na słodkie *rendez — vous* z kochankiem, a zastawszy u niego rywalkę, zamordowała bezbronną...

Margrabina siedziała skulona na ziemi, jakby w siebie wrosła. Bolesne łkania pierś jej rozrywały; twarz w dłoniach ukryła.

Porwał ją gwałtownie za ramię i rzucił na szezlong:

— Idę za ciebie do więzienia, na rusztowanie... Jeżeli chcesz, by ci Bóg przebaczył w chwili skonu... oczyść nim umrzesz, pamięć biednego, a niewinnego Jakóka Loubet.

V.

W siedemnastym stuleciu sądownictwo szybko ekspedjowało na tamten świat ludzi podejrzanych. Upartym i zakamieniałym grzesznikom, tortury język rozwiązywały; a gdy kto jak pan Loubet sam się przyznawał, tem doraźniej wyrok zapadał. Szczegóły tego krwawego dramatu wywarły na mieszkańcach głębokie wrażenie i dotąd całe miasto Aix było w poruszeniu.

W dzień, w którym sprawę adwokata sądzić miano, tłumy nieprzeliczone snuły się na placu, przed pałacem sprawiedliwości. Marius Magis perorował jak zwykle otoczony licznymi słuchaczami. Nie w smak mu było

wmięszanie się w tę sprawę Jakóba, którego zeznania spychały Marjusa, do roli podrzędnej. Odtąd jego świadectwo stawało się zupełnie zbyteczne, nie mogło ani uratować, ani potępić nikogo. On dotąd święcie wierzył w swoją nieomylność, i potrafił nawet udzielić tego przekonania garstce łatwowiernych, którzy nie mając własnego zdania, idą najchętniej jak owce potulne, za opinją drugiego.

Panowie! — mówił głośno i dobitnie. — Nikt mi tego z głowy nie wybije, że Jakób Loubet ginie, jako heroiczna ofiara miłości. Poświęca siebie, aby uratować życie Katarzynie. Co znaczy, powiedzcie mi owa okoliczność, której nie mógł wytłumaczyć, a którą ja tak dokładnie opisałem? Kim była ta kobieta, wychodząca z ogrodu pana de Lansac, i chroniąca się później do domu Loubetów? Wszak sam nazwał mi wtedy Katarzynę; i na razie, tej samej nocy, kilku z was udzieliłem tej wiadomości. A ta damska mitenka?... Trzeba nie mieć najmniejszego obycia w sądowych rozprawach by nie widzieć wszystkiego jasno jak na dłoni. Streszczam raz jeszcze rzecz całą: Katarzyna popełniła zbrodnię niewątpliwie; proces toczył się szerokim prawdy gościńcem; gdy adwokat z poświęceniem bezprzykładnem oddaje się sam w ręce sprawiedliwości. Ale czy to ma sens jaki? Całe jego zeznanie bez najmniejszej podstawy; fakta naciągane, kłamliwe. Skoro się sam przyznaje; skazać go muszą, wspomnicie jednak moje słowo! Prędzej czy później prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa; będziemy mieli dwa procesa kryminalne zamiast jednego, i pamięć przynajmniej zacnego człowieka zostanie zrehabilitowaną.

Szmer pochlebny przyjął tę długą tiradę. Marius spojrzał w około okiem tryumfatora i tak dalej mówił:

— To nie wszystko panowie. Najlepsze kąski na koniec zostawiłem...

Koło słuchaczy zwęziło się wszyscy szyję wyciągnęli oczy ciekawie w niego wlepiając.

— Widziałem dziś rano wieśniaka, u którego bawił adwokat Loubet przez dni kilka, z tamtej strony rzeki *Durance'y*. Poczciwa to dusza, dawny klient adwokata. Opowiedział mi jakim sposobem doszła ta wiadomość do Jakóba. Kupiec noszący obrazki opowiadał całą historję nocując w jednej z chat gdzie dziewczęta były się zeszły z kołowrotkami na wieczernicę... Gruchło to nazajutrz po wsi całej... Gdy się o tem adwokat dowiedział, zemdlał, a następnie zaczął wołać głosem rozdzierającym „Uratuję ją!... Oddam życie własne.“ i tym podobne frazesa....

Otworzono bramy pałacu. Wyrok miał być publicznie odczytany. Tłum jak przypływ morza wzburzonego, całą siłą pchał się naprzód, depcząc i dusząc się nawzajem bez litości. Marjus opuszczony prawie przez wszystkich, usiadł na ławeczce pod drzewami. Nie myślał pchać się razem z motłochem; i dusić w sali przepełnionej. Wszak wiedział, że jego wierni satelici, treść mu wyroku ogłoszą, choć sam się trudzić nie będzie. Jakoż wkrótce otoczyła go zgraja próżniaków do niego podobnych, a na ich czele kadet Beauregard wyrzucający czapkę w górę i krzyczący zdaleka:

— Skazany! skazany na śmierć jednogłośnie!... mówią że jutro już egzekucja...

Marius zerwał się na równe nogi, wymachując rękami.

— Mnię ust nie zamkną — wołał z zapałem, — biegając tam i nazad wzdłuż pałacu. Do końca życia mego będę głośno świadczył, żem widział Loubeta, ot tu! — wskazał na jedno z drzew — przez cały wieczór i noc przed św. Janem opartego, jak przyklaskiwał heroicznym wycieczkom Auli akademickiej, broniącej się od napaści pułku *royal-comtois*. Biedny człowiek! Ani mu się śniło iść mordować w ogrodzie Lansac'a piękną Loubetę. On niewinny jak dziecko nowonarodzone; a oto zbrodniarka!...

Tych słów domawiając, wskazał ręką na Kasię, która wychodziła z uliczki Portalez. Prowadził ją ojciec Atanazy; oboje ku więzieniu dążyli. Biedne dziewczę było jak martwe. Nie słyszała szmeru złowrogiego około siebie; nie uważała na przekleństwa i groźby, które po drodze na jej głowę padały; nie byłaby może nawet bolu uczuła, i głowę odwróciła, gdyby zamiast słów, kamienie na nią leciały.

Mnich przerażony, otoczył ją jednem ramieniem; drugiem drogę sobie wśród tłumu torując.

— Panowie, panowie! W imię Boga ukrzyżowanego, proszę się ustąpić...

— Czego oni chcą odemnię? — spytała słabym głosem Katarzyna, wstrzymana tym zgiełkiem.

Wtedy głos donośny zabrzmiał jej nad uchem:

Sprawiedliwości! Adwokat niewinny, oto zabójczyni.

Mnich pociągnął Kasię gwałtownie, i za chwilę ciężkie bramy więzienne za nimi się zamknęły.

Adwokat usłyszawszy wyrok śmierci, prosił natychmiast o swego spowiednika i Kasię. Prawo pozwalało mu widzieć kogo zechce, w tych ostatnich życia godzinach.

Młoda dziewczyna przypadła do kolan Jakóba, okrywając ręce jego łzami i pocałunkami. Ojciec Atanazy blady i zmięszany rzekł po cichu:

Krzyczą tam przeraźliwie. Ten łotr Magis podburzył pospólstwo. Wszyscy ciebie uważają za niewinnego, a Kasi grożą i obelgami obrzucają.

— Biedne dziecię! — Jakób spojrzał na nią boleśnie — więc tylko ci życie uratuję!... Poddaj się woli Bożej; i módl się o spokój mej duszy. Nie chciałem zejść z tego świata, nie powiedziawszy tobie jednej na pociechę, że i ja nie popełniłem zbrodni, o którą ciebie oskarzono...

Czemuś mi umrzeć nie pozwolił? — przerwała mu gwałtownie — Jakóbie, Jakóbie, oni ci uwierzyli, ale ja ani na chwilę, uwierzyć w to nie mogłam.

Mnich zdziwiony i na nowo zaniepokojony, wypatrzył się na Jakóba:

— Więc przyznałeś się jedynie, aby to biedne dziecię

uratować? I tyś niewinny? A gdzież w takim razie winowajca?

— Powiem ci to na spowiedzi mój ojcze — odrzekł Jakób spokojnie. — Gdy pożegnam się z Kasią resztę czasu, który mi pozostaje, tobie poświęcę.

Nachylił się i długo, długo coś szeptał Kasi, przesuwając palce po jej jasnych i jak jedwab miękich kędziorach. Ona klęczała przed nim ciągle jak przed Bogiem, i słuchała ze złożonemi rękami, oczy w dół spuściwszy.

Podniósł ją wreszcie z ziemi i do piersi gorąco przycisnął:

— Żegnaj Kasiu, żegnaj!... musimy się rozłączyć, twoja obecność pozbawia mnię odwagi... przy tobie żal mi życia.. Jak spokojnie byłoby nam spłynąć mogło!... Zapoznałem gdzie moje szczęście prawdziwe... O! gdyby ono do mnię wróciło?...

Podniosła wżrok na niego, a słaby uśmiech na ustach zaigrał:

— I ja umrę niedługo najdroższy! — szepnęła — W śmierci jak w życiu, jestem twoją narzeczoną...

Pocałował ją w czoło, a oddając mnichowi rzekł:

— Oddal ją mój ojcze... Bądź zdrowa Kasiu!... ledwie mi czas zostanie abym się mógł po chrześcijańsku do śmierci przygotować.

Adwokat nie był bigotem, lecz wiara jego, z mlekiem matki wyssana była głęboka i niezachwiana. Spowiedź odbył z rzewną prostotą, szczerze, nic nie ukrywając.

Mnich słuchał go w milczeniu, z uwagą natężoną, łzy mu spływaly po licu pomarszczonem; ręce i usta drgały świętem oburzeniem.

Gdy wszystkiego wysłuchał, przeżegnał penitenta, dając mu *in articulo mortis* zupełną absolucję.

— Mój synu — rzekł po chwili — pójdę błagać dla ciebie o zwłokę.

— W jakim celu, ojcze?

— Opatrzność, udzielając nam jednego dnia, jednej choćby godziny; może wlać w tym krótkim czasie żal i skruchę w tę duszę występną. Tajemnica twojej spowiedzi jest świętą! pójdę jednak czuwać nad sumieniem tej kobiety nieszczęsnej, której życie gaśnie...

Jabób potrząsł smutnie głową:

— Ofiara musi być spełnioną mój ojcze... nie łudzę się zwodniczą nadzieją.

Ojciec Anatazy otrzymał trzechdniowe zawieszenie wyroku. Skoro się o tem zapewnił, pobiegł do pawilonu. W pół drogi spotkał lektykę, którą niosło czterech ludzi, a liczna służba idąc pieszo ją otaczała. Za nią postępywała krok za krokiem kareta. Poznawszy żałobną liberję prezydenta, mnich struchlał; myśląc że już umarła margrabina, Smutny orszak zwolna postępował prezydent spostrzegłszy nad drogą biednego mnicha z ziajanego i upadającego od zmęczenia, kazał stanąć i skinąwszy nań ręką łaskawie:

— Siadaj, czcigodny ojcze, siadaj — zagadał robiąc mu miejsce obok siebie. — Przeprowadzam do miasta panią margrabinę (prezydent nigdy inaczej nie nazywał synowej.) Jest bardzo źle! Chciałem właśnie po ciebie posyłać.

Upał był niesłychany; z nieba jak to mówią: ogień leciał; najlżejszy wietrzyk liśćmi nie ruszył; ptaki siedziały nieme w cieniu ukryte; trawa wydawała się zwiędłą, kwiaty schylały główki zmęczone, czekając na rosę wieczorną, by odżyć na nowo.

— Istna Thebaida! — Mnich zawołał. — Czy tylko ten straszny upał, nie przyśpieszy końca pani margrabinie?

— Niech ją Bóg ratuje! — prezydent westchnął pobożnie. — W pawilonie nie mogłem jej w żaden sposób zostawić. Mały tamże salonik, nie byłby pomieścił licznych gości. Skoro dowiedzą się o jej niebezpieczeństwie, jutro, dziś jeszcze może; całe miasto zechce ją widzieć. Zażądam nabożeństwa czterdziesto godzinnego. Kościół powinien to uczynić, dla osoby na tak wysokiem stanowisku, i znanej przy tem z cnót i świątobliwości.

W godzinę później margrabina leżała w swojej olbrzymiej sypialni, czarnym aksamitem obwieszonej. Wielki krzyż hebanowy, z ciałem rozpiętem Zbawiciela z kości słoniowej, był przybity do ściany nad łożem wspaniałem. Czarne firanki adamaszkowe, w ciężkich fałdach od sufitu, do ziemi spływały łóżko osłaniając. Poczciwa Joanna, i kilka dam z miasta łóżko chorej otaczało, mówiąc między sobą głosem przyciszonym. Margrabina z twarzą do ściany obróconą znaku życia nie dawała. Nie mówiąc, nie skarżąc się, leżała nieruchoma, i jedynie słychać było jej oddech nierówny i przyśpieszony, a czasem suchy kaszel się odezwał.

Ojciec Atanazy usiadł w głowach łóżka, i mówił do niej głosem cichym i łagodnym:

— Cierpisz wiele moja córko. Ufaj! ufaj! Miłosierdzie Boga jest niewyczerpane, byle żal, byle skrucha... On mnię przysyła, aby ci dopomódz, — jeżeli tak postanowił o tobie — w tem ciężkiem przejściu z życia doczesnego, przemijającego... w progi wieczności... Czy nie zechcesz przyjąć teraz najświętszych Sakramentów?

Nic nie odpowiadała. Powtarzał wytrwale to samo pytanie. Wreszcie rzuciła się niecierpliwie i głosem bez dźwięku wyszeptała:

Później, później!... mam jeszcze na to dość czasu...

— Kiedy zechcesz moja córko. Na krok cię nie odstąpię.

Joanna cała we łzach wyprowadziła mnicha do przyległego gabinetu:

— O mój Boże! — jęczała — pani nasza umiera. Lekarze powiedzieli, że najdłużej dwa dni jeszcze pożyje, a każdej chwili może nam skonać na ręku. Bardzo dawno się nie spowiadała! Chociaż to święta osoba jednak...

— Prośmy Boga — mnich przerwał — by nie umarła śmiercią bezbożnych...

Joanna przeżegnała się przestraszona:

— Całego nieszczęścia przyczyną, adwokat Loubet

— dalej mówiła. — Jestem pewna, że to on urzekł panią margrabinę i o śmierć ją przyprawia. Powiadają że go będą kołem łamali. To jeszcze za mało dla takiego zbrodniarza!...

— Cicho, cicho Joanno, nie bluźnij! — mnich spojrzał na nią surowo, i nazad wrócił do sypialni.

Ileż czczych i drobiazgowych szczegółów otaczało łoże tej umierającej. Cały pokój wyglądał jak kaplica pośmiertna, gdzie tłum wchodził na to tylko, by rzucić na wszystko wzrokiem ciekawym, bez łzy w oku i bez współczucia.

Musiała umierać jak żyła; otoczona pompą uroczystą i ponurą którą kościół katolicki rozwija przy konających, a bogatych...

Dzień i noc setki gromnic poświęcanych w około niej gorzały; obłożono ją relikwiarzami; w jednym rogu stał ołtarz mszalny, na prędce zbudowany, przy którym po kolei księża Mszę św. odprawiali. Na to wszystko nie żałował z natury skąpy pan prezydent. Cała Francja — powtarzał — musi się dowiedzieć, o końcu tak budujacym jego synowej. Oprócz tego człowieka bez serca i miłosierdzia, nie miała nikogo margrabina. U rodziców, od dawna nie żyjących, była jedynaczką; dzieci nigdy nie miała; prócz poczciwej Joanny, nie było jednego serca na szerokim świecie, któreby znalazło dla niej łzę żalu prawdziwego, ani jednych ust, któreby szczerze za spokój jej duszy Zdrowaś Marja zmówiły. Lekarze ją odstąpili. Leżała wśród tego ponurego przepychu, jakby już do ziemi należała. Nikt się nie spytał, czy jej to nie razi, czy nie straszno tej osobie jeszcze żyjącej, wśród tych pogrzebowych przygotowań; czy te piersi wyschnięte i gorączką spalone, nie potrzebują raczej powietrza świeżego, zamiast oddychać dymem kadzideł i odorem świec kopcących? Skoro tego wymagała etykieta, cóż w obec niej znaczyły choćby setnie pomnożone cierpienia konającej? Ona jednak nie zdawała się czuć tego wszystkiego. Pozwalała robić z sobą, co tylko chciano; leżąc dalej bezwładnie, z oczami zamkniętemi. Raz tylko pierwszej nocy, gdy ją do pałacu przywieziono, podniosła powieki, powodząc w około wzrokiem szklistym, lecz w którym znać było jeszcze rozumu i uczucia iskerkę... trwało to jednak chwilę przelotną i znowu w dawny stan zapadła.

Ojciec Atanazy nie odstępował ani na krok łoża konającej. Czekał z zwrastającym niepokojem, jakiego kolwiek ruchu; jednego aby słowa! Nic i nic...

Ostatniej, a trzeciej z rzędu nocy, dopalające gromnice jakby łuną krwawą pokój oświetlały! dwóch księży klęczało przed ołtarzem, mrucząc machinalnie *miserere*, kobiety drzemały po kątach; nawet ojciec Atanazy blady i zmęczony zwiesił głowę na piersi i zdawał się usypiać. Oknami otwartemi wpadał pierwszy brzask poranny, i słychać było szmer liści na drzewach, budzących się by słońce powitać. Ranek był cichy i spokojny, zwiastujący dzień nader piękny.

Joannna niezmordowana, poprawiała właśnie poduszki pod głową margrabiny, i obtykała kołdrę, która się była usunęła. Dotknęła się jej nóg przypadkiem i uczuła zimno grobowe. Nagle margrabina rzuciła się całem ciałem, i krew jej z ust wybuchnęła, zalewając łóżko, i obryzgując najbliżej stojących.

— Boże miłosierny! krzyknęła Joanna. — Kona już, kona!...

W tem konająca podniosła się o własnej sile, z oczami szeroko otwartemi, z rękami naprzód wyciągniętemi, i zawołała głosem ochrypłym, śmiertelną czkawką przerywanym:

— Umieram... chcę się spowiadać... wołajcie pana prezydenta... notarjusza... świadków jak najwięcej... czas nagli... Boże! użycz mi jeszcze chwili tylko!...

— Prędzej, prędzej! — wołał ze swojej strony ojciec Atanazy. — Moja córko, czas najwyższy, mów, ulżyj twemu sumieniu!...

Przerażone kobiety rozbiegły się jak stado ptaków spłoszone. W kwandrans może i prezydent, i notarjusz w pałacu mieszkający, i kilku nawet urzędników sądowych, zeszło się do pokoju margrabiny.

Mnich przez cały ten czas ją upominał, i krucyfiks do ust przykładał, by wzmocnić jej siły.

— Odwagi córko, odwagi! — powtarzał — Bóg ci wskazuje drogę do nieba!...

— Notarjusza!... niech spisuje moją ostatnią wolę!...

— Czy pani margrabina myśli robić testament? — słodziutko wtrącił prezydent. — Wszak majątek do mnię cały należy; pani byłaś tylko dożywotniczką...

— Nie nie, — gorzko się uśmiechnęła. — Ostatnią spowiedź moją spisujcie, i wszyscy jej słuchajcie, abyście mogli zaświadczyć...

— A obracając się do księdza, który ją ramieniem podtrzymywał:

— Spowiadam się przed tobą ojcze, i wyznaję, przed wszystkimi tu obecnymi, że Jakób Loubet jest niewinny... Ja to zamordowałam piękną Loubetą!...

Okrzyk zgrozy i przerażenia wyrwał się ze wszystkich piersi. Jeden ojciec Atanazy pozostał spokojny, a wyciągając drzącą dłoń nad głową konającej, wymawiał powoli słowa rozgrzeszenia. Gdy skończył szepnął jej, głęboko wzruszony:

— Moja córko twoja skrucha ratuje niewinnnego... Za kilka godzin byłoby już za późno!...

Upadła na wznak i głosem tak słabym, że ledwo go wprawne ucho mnicha dosłyszeć zdołało wyszeptała:

— Nie mogłam mówić jak w chwili skonu... Dzięki ci Panie!... Nadeszła!...

KONIEC.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.